

Rozdział I. Uwolnienie jawnogrzesznicy

Rzecz dzieje się w wymagowanej krainie Wigomerów. Nazwa nie jest specjalnie istotna, ponieważ takie krainy, posiada większość z nas w dalszych lub bliższych zakamarkach własnej wyobraźni. Na przestrzeni lat, zmieniają one swój kształt i wielkość. Budulcem są oczekiwania i doświadczenie. Marzenia i nieograniczona fantazja, tworzą zaś akcję. Państwo Wigomerów leży na geograficznym Bliskim Wschodzie. Właśnie przeżywa kryzys swego samostanowienia, ponieważ podbite zostało przez imperium Rzymskie cesarza Tyberiusza. Nie posiada swojego wojska ani rządu, zachowuje jednak pewną swobodę działania. Szczególnie w kwestii wiary. Stolicą państwa jest Dzerulasem, położone na lekkim wypłaszczeniu, zakończonym od wschodu doliną rzeki Ran. Za doliną znajduje się łańcuch górski, który stopniowo, mijając dolinę, zanika na korzyść kamiennie-pustynnych równin w kierunku zachodnim. Przy dobrej pogodzie, widać go gołym okiem z najwyższych wież w mieście. Na równinach, tam gdzie to możliwe, wybudowano tarasy, na których uprawiano jęczmień, pszenicę oraz zakładano winorośle. Wypasano rogate bydło. W enklawach zieleni kwitł handel. Interesów okupanta pilnował namiestnik prowincji z nadania imperium, Ponepilad. Porządek utrzymywał dzięki setnikowi Negatowi, który zarządzał tysiącem cesarskiego wojska. Myliłby się jednak ten, kto uważa, że mamy już określone miejsce i czas. Ten drugi, ze względu na pewne wydarzenia, okaże się katapultą i w efekcie zmieni diametralnie miejsce akcji.

Plac Ain Karem położony był na obrzeżach Dzerulasem. Od strony Ramla był pierwszym cywilnym placem wewnątrz miasta. Osadzony na planie prostokąta wzdłuż osi wschód – zachód, posiadał dwie bramy na bokach krótszych. Od wschodu, znajdowała się brama, która wielkością ponad dwukrotnie przewyższała swoją vis a vis imienniczkę. Była surowa w wykonaniu. Skośny przelot zakończony trójprzęsłowym łukiem, był jedynym odstępstwem od niewyszukanej architektury budowli. W dawnych czasach pełniła rolę bramy wjazdowej. Po wybudowaniu nowych murów obronnych, zdemontowano z niej mechanizm krat i kołowrotu. Straże Tyberiusza przeniesiono częściowo na mury, a częściowo na najbliższe bramy:

Damasceńską i At-Hadasz. Znaczenie bramy wschodniej spadło do roli zwykłej, choć niezwykle wysokiej, miejskiej bramy.

Od zachodu, znajdowała się brama niższa, ale za to pełniejsza architektonicznie, posiadała wiele drobnych zdobień i detali pochodzących jeszcze z czasów Heroda Wielkiego, czyli ojca obecnego tetrarchy, Heroda Antypasa. W attyce umieszczono płaskorzeźby przedstawiające podbite przez Wigomerów plemiona. Historię i przebieg stoczonych bitew. Najślynniejszych wodzów oraz zdobyte łupy. Zdobienia te uzupełniane były również przez obecnych artystów, ściągniętych z serca cesarskiego imperium, by udokumentować jego pobyt w tym miejscu i status własności.

Północna część placu posiadała wzdłuż ścian szeroki trakt, ułożony z płyt kamiennych. Swobodnie mogły się na nim minąć dwie osoby idące z naprzeciwka i w dodatku ciągnące wózki. Nad traktem, na całej długości, wybudowany był dach pokryty czerwoną dachówką. Doraźnie miejscami łątany, po dziurach jakie zrobiły w nim inne dachówki, spadające z dachów domów położonych wyżej. Wejścia z traktu do atrium, były nieco uwypuklone i dodatkowo wsparte kolumnami przypominającymi wyglądem kolumny w stylu Koryckim. Takie wejścia były dwa po tej stronie placu.

Południowa część placu o tej porze dnia, skryta była w cieniu długiej i wysokiej ściany, spichlerza zbożowego. Z tej strony również znajdował się trakt pieszy osłonięty dachem, ale był znacznie węższy od północnego. Nie był też tak okazały. Jego podłogę stanowiły różne formy wypalonych płyt gliniastych, w odcieniach żółci i brązu. Kolor, był wypadkową temperatury wypalania, czasu i umiejętności glazurnika. Dach podtrzymywany był drewnianą kolumnadą i pokryty liśćmi palmy daktylowej. Równocześnie ciosane bloki granitowe wspierały całą konstrukcję na jej najniższym poziomie. Bloki te posiadały podwójną funkcjonalność, stanowiły bowiem doskonale miejsce, do tego aby na nich usiąść i odpocząć. Pośrodku placu znajdowała się studnia. Wysoka do pasa dorosłego człowieka. Obłożona była takim samym granitowym kamieniem jak murek po południowej stronie placu. Wody nie wyciągało się z niej żurawiem, lecz za pomocą sznura, wiadrami. Sznur ciągnięty był siłą ludzkich ramion po krawędzi studni. Dziesiątki lat przesuwania sznura wypolerowało granit na błysk. Wyglądał tak jakby był specjalnie woskowany.

Po wyciągnięciu wiadra, sznur oplatało się wokół wyschniętego na wiór pnia drzewa, wysokości nie większej niż sama studnia. Trudno było ocenić, czy ten pień został tu wkopany, czy rosło tu kiedyś drzewo, które przy studni umarło z pragnienia. To samo wiadro służyło również do napełniania kamiennego poidła dla zwierząt stojącego opodal studni. Wnętrze placu, pomiędzy traktami pieszymi i bramami wypełnione było piaskiem koloru ochry, naniesionym tu tysiącami stóp i zwierzęcych kopyt ze wszystkich stron państwa Wigomerów.

W Dzerulasem było w wiele domów, w których mieszkało wielu ludzi, wiele ulic oraz wiele placów. Wszystkie były świadkami wydarzeń czasem ważnych, a czasem na pozór błahych i nic nie znaczących. Na placu Ain Karem, wydarzenia zmieniły losy i przeznaczenie ludzi.

-&*-&-

Joshua, Suda z Iszkeru, Kefa i Jon ugasiwszy pragnienie przy studni, siedzieli teraz na granitowym murku po południowej stronie placu, odpoczywając po długiej wędrówce z nad jeziora Gezetnare. W milczeniu obserwowali postacie pojawiające się na placu. To z jednej to z drugiej strony. Jak w teatrze niespodzianek, w którym nie wiadomo było, kto za chwilę pojawi się na scenie i jaką odegra rolę. Regułą było, że przybysze wędrujący od wschodu, zatrzymywali się na krótki postój przy studni, aby ugasić pragnienie przyniesione z pustyni. Poili przy tym juczne zwierzęta towarzyszące im w drodze. Twarze ich jaśniały z każdym łykiem wody. Im mniej było pragnienia tym większa była nadzieja. Na zrobienie dobrego interesu w mieście lub owocnego spotkania z rodziną. Pozdrawiali wszystkich nieznajomych, których mieli w zasięgu wzroku, dziękując w ten sposób opatrności, za szczęśliwe dotarcie do celu.

Słońce od dłuższego czasu schodziło z zenitu. Ruch na placu zmniejszył się. Joshua, po wyczerpującym dniu, starał się nie zaprzętać głowy poważnymi myślami. Przyglądał się grze cieni zachodzącego słońca na domach po przeciwległej ścianie placu. Niektóre z nich odkładały się finezją kształtu wewnątrz mieszkań. W jednym z okien ponad traktem, starszy pan podlewał kwiaty. Robił to bardzo uważnie, lejąc małe porcje wody do każdej donicy z osobna. Przeszedłszy cały rząd, wracał do pierwszej w kolejności i powtarzał proces od początku. Inny palił fajkę, starając się nie dopuścić, by dym wpadał do środka mieszkania. Co chwila zaś spoglądał z niepokojem do środka, czy aby z nikt z domowników nie nadchodzi, by zaprotestować tej formie zadośćuczynienia tytoniowemu pragnieniu. Kefa pogrążony był w

studiowaniu Księgi proroka Emera. Jon wyraźnie się nudził i chętnie już by stąd poszedł. Tyle, że decyzja nie należała do niego. Suda zaś, siedzący po lewej stronie Joshuy, rozważał, jak bardzo opłaca mu się interes z setnikiem Negatem, który ten zaproponował mu kilka dni temu. Nagle coś się zmieniło. Kefa nie odrywając wzroku od pisma, wyczuł to swoim szóstym zmysłem. Zmiana nie była związana z jakimś poruszeniem. Była raczej jak znikąd pojawiający się zapach, którego ani pochodzenia ani przyczyny nie widać na pierwszy rzut oka. Kefa podniósł wzrok znad pism. Spojrzał na towarzyszy. Wszyscy oni z zaciekawieniem patrzyli w jeden punkt. Na scenie placu, przy studni, pojawiły się dwie kobiety. Ich wiek ocenić można by na 20 i 30 lat. O ile starsza miała chustę na głowie, to młodsza właśnie ją zdjęła. Odrzuciła ruchem głowy, pęk długich kruczoczarnych włosów. Rozpięła bluzkę pod szyją i korzystając z uprzejmości przypadkowego Samarytanina, który naciągnął dla nich wody, sięgnęła kubkiem do stągwi. Piła powoli, odchylając głowę do tyłu i tym samym uwydatniając wspaniałej konstrukcji piersi. Delektowała się każdym łykiem, starając się nie uronić ani kropli. Tak jakby to było źródło, w którym woda gwarantuje nieśmiertelność. Ugasiwszy pragnienie obmyła ręce, twarz, szyję. Skropiła kark, by zaznać zbawczego chłodu. Piękność przy studni była bardzo zgrabna. Była kwintesencją kształtu kobiet z ludu Wigomerów, która wyewoluowała do genetycznego ideału, w procesie wymierania i narodzin kolejnych pokoleń. Nasyciwszy pragnienie, duże żywe, bystre oczy zaczęły rozglądać się wokół. Kefa ze zgrozą spojrział na Joshue.

- Mistrzu, nie patrz tak – powiedział z przyganą, która oznaczać miała, że takiemu nauczycielowi jak On, nie przystoi podziwiać żywego piękna w ludzkiej skórze. Nie widząc zaś reakcji ze strony Nauczyciela, podjął dalej ściszym głosem, by nie daj bóg, ktoś usłyszał.

- To jest Mirae z Miralli – powiedział, a brzmień to miało jako objaśnienie nieprzyzwoitości. Mistrz Joshua, w dalszym ciągu nie reagował. Za to wzrok Kefy padł na twarz Sudy z Iszkeru, który pochylał się nieco z lewej strony, za plecy Mistrza, i posłał mu szelmowski uśmiezek, co znaczyć miało, że nawet Mistrz, nie jest w stanie przejść obojętnie wobec urody Mirae. Kefa wytrzymał tę zniewagę. Musiał to zrobić, aby nie oddać pola Sudy. Obaj rywalizowali o względy Mistrza w pierwszeństwie do tytułu najlepszego ucznia. Czasem górą był Suda. I jeśli nadarzał się taki moment jak ten, nie omieszkał zaznaczyć tego wobec swojego rywala. Mirae tymczasem usiadła na kamiennym podwyższeniu poidła dla zwierząt, wyjęła z torby grzebień, przechyliła

głowę na bok i zaczęła rozczesywać włosy. Kefa, już nie do Mistrza, ale w pustą przestrzeń powiedział, niby to do siebie a niby nie, ale tak, żeby On słyszał:

- To cudzołożnica – ostatkiem nadziei oczekiwał jakiejś reakcji, przeniesienia wzroku, komentarza, ale nic takiego nie nastąpiło. Było jeszcze gorzej. Joshua patrzył na Mirae, tak samo jak obwiesie spod karczmy, na widok pięknej, ale kobiety lekkich obyczajów! Kefa, żadną siłą nie chciał nawet pomyśleć, że jest to pożądanie. Nieprzyjemne było to, że pierwszy raz widział Nauczyciela w takim stanie.

- Gdzie jest Miralja? – zapytał nagle Jon.

- Miralla – poprawił go Suda i już miał otworzyć usta, by mu to wytłumaczyć, ale nagle rozmyślił się. Bał się, że za tą jedną odpowiedzią, padnie więcej pytań. A wszystkiego nie chciało mu się tłumaczyć. Wolał korzystać z chwili i chłonąć wzrokiem jawnogrzesznicę. Podobno ojciec wyparł się jej, podobno rodzina zapomniała, podobno ona i jeden z wysokich kapłanów Ushafearaf ..., podobno bili się o nią, podobno majątki zastawili, podobno wielu potraciło dla niej zmysły, podobno potrafiła rzucić urok Podobno było mnóstwo. Nikt jednak nie był w stanie zaprzeczyć nieprzeciętnej urodzie Mirae. Skoro Bóg stworzył takie piękno - rozważał Suda – to nie przez przypadek. I tu uruchomił fantazje, których nigdy mu nie brakowało.

Niepodziewanie Joshua, rękę w łokciu opartą o własne kolano, przesunął w stronę Sudy. Nie patrząc w jego stronę otworzył dłoń. Był jak lekarz przed operacją, który oczekuje od swojego asystenta właściwego narzędzia, którym dokona pierwszego cięcia. Bystry Suda w mig zrozumiał o co chodzi. Włożył w otwartą dłoń Mistrza, koniec około metrowej długości kija, z którym od jakiegoś czasu, się nie rozstawał. Używał go, do przeganiania natrętnych gapiów i tych, którzy nie respektowali granicy jednego kroku, chcąc dotknąć szat Mistrza. Siekł wtedy po rękach niemilosierdzie. A jak Mistrz nie patrzył, to jeszcze mocniej. Musiał Go chronić przed zdeptaniem przez tłum. Dzicz nie respektowała żadnych zasad. Taki sposób uważał za najskuteczniejszy. Joshua zacisnął dłoń na kiju, przesunął go przed front własnej swej osoby i nie zmieniając pozycji, siedząc, kreślił na ochrowym piasku jakieś znaki. Spoglądał przy tym od czasu do czasu na Mirae, jakby chciał ją naszkicować.

Po zakończonej toalecie przy studni, kobiety zaczęły pakować swoje torby i szykować się do dalszej drogi. Wtedy po raz pierwszy wzrok Joshuy i Mirae związał się w błysk. Krótki, ale z tych, który może wzbudzić zainteresowanie. Speszona Mirae,

odwróciła głowę, przełożyła pasek torby przez lewe ramię i przynaglana przez towarzyszkę ruszyła za nią w kierunku zachodniej bramy. Joshua, zamazał wszystko co stworzył na piasku. Zupełnie jakby ta historia została już zapisana i opowiedziana. A kto nie zdążył jej przeczytać, ten powinien żałować.

- Jon? – poderwał z letargu najmłodszego swego ucznia. – Widzisz ten kamień? – tu wskazał mu otoczek, wielkości pięści w zasięgu jego wzroku. Jon nic nie odpowiedział, wstał jednak, okazując swoją gotowość do działania. Dla Mistrza, gotów był zrobić wszystko, nie zastanawiając się nad sensem tego co zostanie mu zlecone. Po prostu ślepo mu ufał. – Chciałbym – powiedział Joshua - abyś wybierał wszystkie kamienie tej wielkości, od studni do zachodniej bramy – zakreślił, w powietrzu, nad placem, końcem kija, obszar który go interesował.

- Dobrze Mistrzu – odpowiedział Jon i zaraz dodał – mam je tu przynieść? - Zabrzmiało to z lekką nutką nadziei w głosie. Jon uwielbiał przypowieści Mistrza, w których coś się działo. Nie widział, bo był wtedy za młody, ale podobno w mieście Kanga, przemienił na oczach weselników wodę w wino! Potem, co sam Jon widział, uciszył burzę na jeziorze. Rozmnożył pokarm, na pustyni dla pięciu tysięcy ludzi. Wydarzenie to nazwane zostało potem cudem pięciu chlebów i dwóch ryb. Nikt inny takich rzeczy nie potrafił. Wprawiał w zachwyty rzesze nieszczęśników.

- Nie – rozwiął jego nadzieję na cud Joshua – zostawisz je tam – i tu wskazał miejsce na placu, gdzie Jon miał złożyć kamienie. Jon ruszył, choć z mniejszym zapałem, wykonać zadanie. Przez pewien czas patrzyli jak uwija się, szukając kamieni. Zawinął bok szaty, chwytając w kiść zbełtany jej koniec. Do tak przygotowanego gniazda wkładał znaleźiska. Nie było ich dużo. W końcu, aby nie krzyżeć, stanął i popatrzył z daleka w kierunku Mistrza. Wzruszeniem ramion dawał mu znak, że więcej nie może znaleźć. I uważa polecenie za wykonane. Joshua, skinął głową na znak zgody. Teraz rozpoczął się proces zdalnego ustalania miejsca, gdzie ma złożyć kamienie. Niby wiedział, że „gdzieś tu”, jak wskazał mu wcześniej Mistrz, ale drobiąc kroki niepewnie spoglądał na Joshue. Kiedy znalazł się we właściwym miejscu, a było to w dwóch trzecich odległości pomiędzy bramą a studnią, Joshua kiwnął głową na znak zgody. Jon puścił róg szaty i kamienie spadły w piach, wzbijając nikłe dymki kurzu. Podgarnął je prawą nogą, jakby zaganiał do zagrody. Było ich nie więcej niż piętnaście sztuk. Joshua z przyjaciółmi podniósł się z miejsca odpoczynku. Podeszli do studni. Nabrali w bukłaki z wyprawionej koziej skóry zapas wody. Po czym ruszyli już we czwórkę, przez zachodnią bramę do wnętrza miasta.

Już poza via Dora, kiedy skręcili w boczną ulicę, Suda zauważył nagle, że czegoś mu brakuje. „No tak” – pomyślał – „nie mam swojego kija”. Spojrzał na Joshue, bo to przecież jemu go dał. Mistrz nie zwalniając kroku, uśmiechnął się rozbrajająco, jakby czytał w jego myślach.

- Zapomniałem – westchnął.

Suda zmiarkował, że jego kij-obronca, musiał zostać prawdopodobnie przy studni, jak nabierali wodę na wieczór. Taki elegancki, i do lania i do pisania i Bóg wie czego jeszcze.

-&*&-

Wieczorem Mirae poczuła się wyjątkowo źle. „Pewnie się przegrzałam” – pomyślała zmartwiona – „ale przecież to nie pierwszy raz, kiedy szłam przez pustynię” – starała się pocieszać. Tego samego zdania była Zofia, jej towarzyszka. Zbyt późno wyszły z Miralli. Potem nie mogły pozwolić sobie na odpoczynek w trakcie drogi. Istniało niebezpieczeństwo, że nie zdążą do Dzerulasem przed zamknięciem bram. Nocleg poza murami miasta, narażał na kłopoty wielu ludzi. Na to, nie pozwalali sobie nawet najbogatsi kupcy. Zbrojne bandy Saracenów, regularnie ściągaly w porze zamykania bram, w ich okolice. Czyhając na spóźnialskich, jak hieny nad sadzawką wody na samotne zwierzęta. Największe profity ze spóźnialskich miały rzymskie straże. Oczywiście z tych spóźnialskich, którzy mieli się czym wkupić w ich łaski. Pozostali podróżnicy, padali łupem mrocznych jeźdźców pustyni.

U Mirae bardzo szybko pojawiły się dreszcze, a wraz z nimi gorączka. Zofia z przerażeniem stwierdziła, że tak rozpalonej w chorobie przyjaciółki jeszcze nie widziała. Przywołała Salmah, kobietę u której wynajmowały nocleg, a jednocześnie siostrę ojca Mirae. Ta, niewiele się namyślając posłała po lekarza, który mieszkał kilka ulic dalej. Pora nie była jeszcze zbyt późna. Poprosili o pomoc. Kiedy przybył lekarz, stan Mirae był już na tyle poważny, iż słyszała urywane zdania wypowiedane przez mężczyznę, ale nie potrafiła przypisać im żadnego znaczenia. Lekarz badał, osłuchiwał, kiwał głową ze zmartwieniem. Było źle. Podejrzał udar. Zofia zgodnie z zaleceniem, miała czuwać przy łóżku chorej, wykonywać regularnie zimne okłady z ręczników oraz pilnować, by nie doszło do odwodnienia organizmu z powodu wciąż narastającej gorączki. Mirae dygotała na całym ciele, mającyna tracąc kontakt z rzeczywistością. Pytała „Jak daleko jeszcze do miasta”, „Czy na pewno zdążą przed

zamknięciem bram”. Zofia i Salmah robiły co w ich mocy alby ulżyć chorej. Wreszcie, w drugiej kwarcie nocy, dziewczyna uspokoiła się. Wciąż była rozpalona jak piec, ale oddychała miarowo. Zofii wydawało się, że wreszcie zapadła w gorący ale normalny sen. Najlepsze lekarstwo.

- Wstań i chodź ze mną – powiedział Anioł. Sprawiał wrażenie osoby, która nadzwyczajnym poleceniem została oderwana od swoich normalnych zajęć i wcale nie była szczęśliwa, że zlecono jej taką misję – Szybciej – ponaglał stojąc w progu pokoju. Mirae, zbudzona za snu, przetała ręką zaspane oczy. Na stole nikłym płomieniem dopalała się świeca. Za oknem w najlepsze królowała noc. Zdziwiło ją, że obcy, karze jej o tej porze wstawać. Mimo to odsunęła pled, którym była przykryta. Obwiązała rzemienie sandałów wokół stóp, okryła głowę chustą. Spojrzała na opartą plecami o ścianę, śpiącą Zofię. Przez moment przeszło jej przez myśl, żeby ją zbudzić i zapytać dlaczego nie śpi w łóżku przeznaczonym dla niej. Stało ono przecież pod przeciwległą ścianą tego samego pokoju. Anioł niecierpliwym gestem dłoni, zabronił jej jednak budzenia przyjaciółki. Mocniej docisnęła suknię do piersi i ruszyła w ślad za nim. Szedł szybko, klucząc uliczkami Dzerulasem. Tam gdzie było więcej światła z pochodni pozostawionych przez strażę, mocniej przyspieszał kroku. Poza kręgiem światła, spoglądał przez ramię, czy nie zgubi jej w ciemności. Na niebie nie było ani gwiazd ani księżyca. Wreszcie stanęli przed furtą, ukrytą we wnęce pobielonego wysokiego ogrodzenia. Jak się wydaje zwieńczonego drewnianą falbaną. Furta miała dość wysoki próg i niskie sklepienie. Było to boczne wejście na dziedziniec nieznanej posesji. Od strony schowanego za murem podwórza, przechylało się ku nim drzewo akacji. Mirae poznała je po silnym zapachu kwiatów, który przypominał jej rodzinny dom w Miralli. – To tu – wskazała ręką Anioł. Gest ten zaś miał świadczyć o tym, że on swoje zadanie wykonał i na tym się ono kończy. Mirae wystraszyła się, że dalej nie da sobie rady. Anioł pchnął jednak furtę. Pod naciskiem jego dłoni, szerokim łukiem zawiasów, bez jednego skrzypnięcia, furta odeszła do wewnątrz podwórza. Mirae z duszą na ramieniu przekroczyła próg. Zrobiła kilka kroków do wewnątrz. Zrozumiała, że w ciemnościach jest ktoś dla kogo ona została tu przyprowadzona. Czuła obecność tajemniczej postaci. Postać przyglądała się jej z boków, z góry. Okrążała ją, to przybliżała do niej, oddalała. Muskała delikatnym powiewem powietrza jej twarz i włosy.

- Kim jesteś? – wyszeptała przerażona Mirae. Nie otrzymała od razu odpowiedzi. Nagły podmuch wiatru zerwał jej z głowy chustę, porywając w ciemność podwórza. Starła się ją pochwycić końcem palców, ale było już za późno.

- Jestem Twoim Bogiem – usłyszała głos. – Jestem panem tego ludu i panem tej ziemi. Jestem panem ludów, których nie znasz i panem ziem, których nigdy nie widziałas. To ja dałem ci życie i to ja mogę ci je odebrać. - Mirae zakręciło się w głowie. Bała się, że straci równowagę. Przyklękła na kolano. Jakaś pomocna dłoń otarła jej czoło chłodnym ręcznikiem. Mówił do niej Bóg. Ten sam, który mieszkał w świątyni, zbudowanej przez króla Malsamona na wzgórzu Moria. Bóg wszystkiego ponad Wszystkim.

- Czego chcesz ode mnie Panie? – zapytała pełna obawy. Bóg jednak nie spieszył się z odpowiedzią. Przyglądał się jej. Nie sprawdzał jednak, czy dziewczyna którą wybrał, nadaje się do misji jaką dla niej przygotował. Kontemplował jej strach, nieprzeciętną jak na gatunek ludzki urodę oraz posłuszeństwo. Skosztował jej strachu i poczuł jak wspaniale smakuje. Naraz usłyszała Jego głos nad sobą.

- Dozwoliłem aby mój syn, spojrział dziś na ciebie – nie wypowiedział imienia syna, ale Mirae wiedziała, że chodzi o mężczyznę z placu Ain Karem. Tego samego z którym wymieniła krótkie spojrzenie, kiedy zbierały się do odejścia w głąb miasta. Czasem spojrzenia nie muszą być długie, aby je zapamiętać.

- Kiedy wstanie dzień, o tej samej porze co wczoraj, pójdziesz znów na plac. Słyszysz Mirae? O tej samej porze, pójdziesz znów na plac ... - powtórzył. Jego głos niesiony powiewem, odbił się echem od murów dziedzińca.

Znowu, czyjaś przyjazna dłoń, przyniosła jej niespodziewaną ulgę chłodu. Ktoś przyłożył zewnętrzną część swojej dłoni do jej policzka, sprawdzał, martwił się.

- Powtórzysz mu to, co ci teraz powiem – uszu Mirae dobiegły pierwsze słowa, gdy nagle ogarnęło ją odprężenie i błoga senność. Spokojnie zawirował świat. „Cóż za wspaniałe uczucie” – pomyślała Mirae.

-&*&-

Salmah niewyspana i zmartwiona chorobą córki swego brata, praktycznie nie zmrużyła oka przez noc. Czuwała przy jej łóżku na zmianę z Zofią. Bała się „katastrofy”, jak jej stan określił lekarz, która mogła nadejść nie proszona tego ranka. A przecież nie po to brat oddał ją, jej pod opiekę, by teraz stała się jej krzywda.

Pod jej okiem miała rozpocząć nowy rozdział w swoim życiu. Bez plotek i niejasnych pomówień, które psuły jej reputację. Salmah zdawała sobie sprawę, że nie było w nich nic z prawdy, ale plotka to narzędzie, które kute jest w niespełnionym oczekiwaniu. A w przypadku mężczyzn, urażona duma, jest gorsza niż zatruta strzała.

Mąż Salmah, Nikodem siedział za stołem. Przegryzał chleb z miodem popijając mlekiem. W perspektywie miał wyjazd po zapas gliny do Ramla. Był bowiem garncarzem. Nie spieszył się. Poza dostarczeniem urobku do warsztatu, nie planował podejmować dziś innych zajęć. Przeżuwał powoli każdy kęs, zastanawiając się jak przekazać złą wiadomość szwagrowi, jeśli Mirae nie przeżyje nocy. Żadne rozwiązanie nie wydawało mu się ani łatwe ani właściwe. Upieczony przez żonę chleb, był z tych samych składników co zawsze. I tak samo jak zawsze powinien dobrze smakować. Ale dziś czuł gorycz piołunu w przełyku. Nagle zasłona w drzwiach kuchennych zafalowała. Delikatna dłoń odsunęła ją na bok.

- Mirae? – Salmah odwróciła się od paleniska na którym kończyła szykować poranną strawę – Co, co ty tutaj robisz?

Dziewczyna zmieszana zdziwieniem gospodyni, nie wiedziała co odpowiedzieć. Czowała się tak, jakby popełniła gruby i niezrozumiały nietakt. Z tego co pamiętała, już dawno jej ojciec ustalił, że od tego lata będzie mieszkać u ciotki w Dzerulasem. Mąż Salmah, również nie krył zdziwienia. Ciotka wytarła ręce obsypane mąką, z placków ziemniaczanych w fartuch przepasany na biodrach. Z niedowierzaniem podeszła do siostrzenicy. Dotknęła jej czoła i policzków. Spojrzała w oczy pod różnymi kątami, podnosząc kciukami powieki. Wreszcie wydała opinie:

- To niemożliwe – Mirae nie wiedziała jednak co jest niemożliwe – Gdzie jest Zofia? – zapytała Salmah.

- Zofia ... śpi. – odpowiedziała niepewnie, jakby nie wiedziała, czy ta odpowiedź również nie będzie zaskoczeniem. Salmah minęła ją i pobiegła do pokoju budzić Zofię. Za chwilę obie stały przed Mirae, przyglądając się jej tak jakby zobaczyły ją pierwszy raz od bardzo dawna.

- Powiecie mi wreszcie co się stało? – zapytała zirytowana całą sytuacją Mirae.

-&*&-

- Czy to mogło być tutaj? – Salmah wskazała na wysoki biały mur zakończony na samej górze szerokimi dachówkami. Mirae powiodła dłonią po strukturze muru. Niedawno był odnowiony. Dziury pozalepiane zostały gliną, a cały mur pobielony.

- Nie wiem – powiedziała niepewnie. Nie czuła zapachu akacji.

- No ale gdzieś tu? – starała się doprecyzować Zofia.

- Chyba tak – próbowała sobie przypomnieć Mirae – najpierw poszliśmy w lewo, potem jeszcze raz w lewo. I chyba ... w prawo?

- Chyba? – prychnęła niezadowolona kobieta, której Mirae nie znała. A która, była tu tylko dzięki temu, że ciotka Salmah, wygadała się przed swoimi przyjaciółkami, iż jej siostrzenica w nocy rozmawiała z Bogiem. Takich kobiet z asysty było kilka. To pod ich wpływem i namową, Mirae zgodziła się, wskazać miejsce, nocnego spotkania. Nie mogła sobie jednak poradzić z tym co widziała w nocy, z tym co było za dnia. Odwiedziły kilka miejsc w okolicy, ale co do żadnego nie miała stuprocentowej pewności. Raz niby zgadzało się jej wejście przez furkę, ale po wejściu do środka, okazało się, że jest tam wielka sadzawka, służąca trędowatym do rytualnych oczyszczeń. Część kobiet, była bardzo oburzonych tak omyłkowym wskazaniem. Mirae była zaś coraz bardziej zmęczona, zrezygnowana i zniechęcona.

- Nie. Nie wiem. Nie przypomnę sobie – powiedziała w końcu. Sprawiała tym spory zawód otaczającej ją gawiedzi. Tym bardziej, że nie mogła przypomnieć sobie, co w nocy, mówił do niej Bóg. Widząc jak się rzeczy mają, ciotka Salmah postanowiła zakończyć nieudaną wyprawę.

- Dość tego – powiedziała stanowczo - Dziewczyna jest blada jak papier i przemęczona po chorobie. Wracamy do domu. - Pożegnały się z kobietami, które ruszyły w swoją stronę. Mirae z ulgą przyjęła taki obrót sprawy. Naprawdę potrzebowała odpoczynku. Nie spodziewała się, że pobyt w Dzerulasem dostarczy jest tak wiele wrażeń w tak krótkim czasie.

Po obiedzie, Mirae wyprowadziła Zofię, przed dom ciotki.

- Muszę iść – powiedziała tajemniczo.

- Dokąd? – zdziwiła się Zofia. Czowała, że to jakiś dalszy ciąg tego co działo się w nocy.

- Na plac Ain Karem – Mirae, po raz pierwszy od poranka, podała konkretną nazwę.

- Czy mam iść z Tobą? – dopytywała przyjaciółka.

- Nie – zaprzeczyła – Ucałowała Zofię w policzek i ruszyła przed siebie.

Filip, Tomasz i Jakub, uczniowie Joshuy rozgrzali kamienie, podkładając suche gałęzie do ogniska, które paliło się w specjalnie wygrzebanej komorze. Na płaskich taflach piaskowca dochodziła wypatroszona ryba. Kiedy Joshua nauczał, oni na rozkaz Kefy, wypłynęli pożyczoną łodzią kilkadziesiąt metrów od brzegu na jezioro Gezetnare. Połów okazał się obfity. Na obiad złowili cefale i tilapie. Zatem ryby słuszných rozmiarów, o dobrym smaku i nie za trudnych w przygotowaniu. Wystarczyło dodać oliwy i soli, przypraw majeranku i oregano. Te zaś miał zawsze przy sobie Jakub. Jedynym niezadowolonym był Suda, który jako skarbnik, musiał wysupłać talara na opłacenie wynajmu łodzi.

- Myślicie, że pieniądze rosną na drzewach? – irytował się. Od ludzi, którzy przyszedli na naukę, ledwo co udało mu się zebrać dziś trzy talary. Byli bardzo skąpi. W dodatku musiał je zbierać w taki sposób, żeby nie widział tego Mistrz. Nie chciał, żeby mówiono o Nim, że naucza za pieniądze. Ale jeść, to każdy chciał. I Suda wiedział swoje. Kiedy płacił rybakowi, żaden z pozostałych uczniów, nie zapytał skąd ma pieniądze, choć doskonale wiedzieli jak je zdobył.

Joshua skończył nauczać już jakiś czas temu. Odpoczywał oparty plecami o sykomorę ze wzrokiem skierowanym na jezioro. Ręce założone miał za plecy. Trudno było cokolwiek wyczytać z wyrazu jego twarzy. Sprawiał wrażenie człowieka, który martwił się o to, ile osób zrozumiało przypowieść i w efekcie, czy da to jakiś efekt w przyszłości.

Przy palenisku, schowanym pośród niewysokich skał, Kefa nerwowo poganiał współtowarzyszy:

- Ile to można się guzdrać z kilkoma rybami? Nauczyciel pewnie jest już głodny.
- Nie przesadzaj Kefa – odparował spokojnie Suda – jak go znam, to nawet jak będzie głodny i tak słowa nie powie.
- Może i nie powie, ale swoje myśli.
- Może myśli, może nie myśli – Suda nie chciał rezygnować.
- Ta jest już dobra – wmieszał się w pyskówkę Filip – Idź, wołaj go. - Kefa puścił mimo uszu, polecenie. Na szczęście sytuację uratował Jon:
- Ja pójdę – powiedział zrywając się z miejsca i pobiegł w kierunku Mistrza. Wkrótce Joshua siedział przy palenisku razem ze swoimi uczniami.
- Mistrzu, co oznaczała dzisiejsza przypowieść, którą mówiłeś ludziom? – przerwał ciszę Filip – zrobił to umyślnie, bo wiedział, że Mistrz lubi, kiedy może wyjaśnić jakieś

wątpliwości. Joshua wytarł ręce, chwycił kubek. Przechylił łyk wody. Nie odstawiając kubka, oplótł go palcami obydwu dłoni.

- To wam powiem, że Królestwo niebieskie, jest podobne do ziarnka gorczycy, które ktoś wziął i posiał na swej roli. Jest ono najmniejsze ze wszystkich nasion, lecz gdy wyrośnie, staje się drzewem, tak że ptaki przylatują z powietrza i gnieźdzą się na jego gałęziach – przełknął kolejny łyk i kontynuował – Aby stać się drzewem, potrzebna jest wam praca nad sobą i doskonalenie się w cnotach. Tylko to zapewni wam ciągły rozwój.

- Studiowanie dobrych pism?

- Dobrych i złych, Kefa. Musisz mieć jakiś punkt odniesienia – poprawił go.

- A jeśli się nie udaje? – wtrącił Suda.

- Musisz próbować. Co robisz jak się potkniesz i przewrócisz? – Joshua nie czekał na odpowiedź – Wstajesz, opatrujesz rany i idziesz dalej. Pomyśl o tym jak o kolejnym doświadczeniu z którego możesz wyciągnąć wnioski.

Mistrz odłożył kubek. Sięgnął po kolejny kawałek ryby.

- Mistrzu, czy dziś będziesz mówił jeszcze do ludzi? – spytał Jon. Mistrz pokręcił przecząco głową. I to w sposób wykluczający jakąkolwiek wątpliwość.

- Dlaczego oni się nie rozchodzą? Dlaczego nie idą do domów? – dziwił się Jon, rozglądając wokół. Tłum zaś podzielił się na grupki i tak jak i oni, raczył się przyniesioną ze sobą strawą, bądź po prostu odpoczywał rozważając słowa otrzymanej nauki.

- Czekają na cud – powiedział pewny siebie Suda. A na myśli miał, jakiś spektakularny wyczyn Mistrza, o którym nazajutrz mówiłoby całe Dzerulasem. Joshua, pomiędzy jednym a drugim kęsem mięsa, uśmiechnął się sam do siebie.

- Cuda, o tyle są dobre jeśli są potrzebne.

I zrozumieli wtedy, że dziś, tam takich nie będzie. Po skończonym posiłku wracali do miasta. Słońce zeszło z zenitu dwie godziny temu. Nie przeszkadzało w marszu. Część ludzi ruszyła za nimi, ale im było bliżej miasta, tym ich masa topniała, aż wreszcie zostali sami. Wchodzili bramą Damasceńską. Pokonali kilka krótkich wąskich uliczek. Joshua prowadził ich na nocleg, tak samo jak wczoraj, przez plac Ain Karem. Jakież było zdziwienie Kefy, kiedy po przekroczeniu wschodniej bramy i wejściu na plac ujrzał przy studni, siedzącą na jej cokole, Mirae. Na widok Mistrza dziewczyna wstała. Tak jak wstają domownicy witając oczekiwanych gości. Baczenie się mu przypatrywała. „Co ona wyprawia?” – oburzył się w myślach Kefa. Nie rozumiał tej sytuacji.

Wyglądało to tak, jakby ona czekała tu na Niego. Tymczasem Joshua poprosił swoich uczniów, by usiedli mniej więcej w tym samym miejscu, w którym odpoczywali wczoraj. Po południowej stronie placu. Sam zaś podszedł do studni. Rozpoczął rozmowę z dziewczyną. Kefa i inni uczniowie nadstawiali ciekawie uszu. Nie mogli jednak posłyszeć o czym mówią. Byli zbyt daleko. Mirae wyglądała na wyraźnie wzruszoną. Czasem próbowała się uśmiechnąć. Ale to było tylko wtedy, kiedy On coś powiedział.

- Naprawdę jesteś jego synem? – zapytała zdobywszy się na odwagę.

- Tak ci powiedział?

- Trochę orientuje się w pismach. Wiem, że syn Boga ma się narodzić z ciała pośród Wigomerów.

- Oto jestem – powiedział Joshua. – Stoję przed tobą. Świat mnie jeszcze jednak nie zna, ponieważ chwila jeszcze nie nadeszła.

Mirae zupełnie nieświadomie nawiązała do owej chwili.

- Mam ci przekazać, że jeden z twoich uczniów Cię zdradzi – powiedziała niepewnie przygryzając dolną wargę. Powiedziała to, co zostało jej przekazane, nie bardzo wiedząc jakiego rodzaju może to być zdrada, co może oznaczać, jakie mieć konsekwencje ani jak szybko może nadejść.

- Kto taki? – zapytał Joshua – znasz jego imię?

Mirae pokręciła przecząco głową.

- Nie, ale ten człowiek jest Twoim skarbnikiem.

Joshua już miał zaprzeczyć, że nie wymaga wynagrodzenia za głoszone nauki, kiedy na placu pojawił się tajemniczy człowiek. Wszedł bramą od strony miasta. Jak cień przemknął chyłkiem, pod ścianą południowego krużganka. Zakrywał przy tym twarz, częścią rozwiniętego efodu. Zatrzymał się opodal grupki odpoczywających uczniów. Schowany za kolumną wypatrzył pośród nich Sude z Iszkeru i przywołał go na bok ruchem dłoni. Obaj szeptali między sobą krótki czas, po czym człowiek oddalił się w tym samym kierunku z którego przyszedł przezornie pochylając głowę. Jednak Kefa rozpoznał go, to był sługa setnika Negata.

- Nie wtrącaj się – Suda rzucił półgębkiem przechodząc obok Kefy, kiedy ten już miał zapytać co oznacza to zamieszanie. Suda minął go i zaczął zbliżać się do Mistrza. Staął za jego plecami. Nerwowo, niezgrabnymi krótkimi palcami, poprawiał sznur, którym przepasana była jego tunika. Joshua domyślił się, kto za nim stoi. Słyszał jak w trzosie, kiedy doń podchodził, krok za krokiem, dzwoniły srebrniki.

- Nauczycielu - Suda zrobił wymowną przerwę, głos drżał mu ze zdenerwowania - musimy stąd odejść. Kapłani Ushafearaf opłacili umówionych ludzi. Idą tu żeby cię pojmać.

Nie było tajemnicą, że od jakiegoś czasu szukają okazji, by go uwięzić. Nauka jaką głosił wychodziła daleko poza ramy wyznaczone przez proroków. Podważał prawo Jozeta, łamał zasady uzdrawiając chorych w szabat, spożywał z celnikami w ich domu posiłki. Lista przewinień Joshuy była znacznie dłuższa. Przez ostatnie kilka lat, od ujawnienia się i podjęcia drogi nauczania, sumiennie zapracował na to, by stać się wrogiem numer jeden Dransehynu, czyli najwyższej rady religijnej i sądowniczej w Dzerulasem i całym Wigomerze. Było niepojęte, żeby człowiek znikąd głosił nowe prawo w oparciu o stary kanon bez zgody kapłanów.

Suda zrobił krok w tył. Był pewien, że Mistrz za chwilę się odwróci i czym prędzej odda się z tego niebezpiecznego miejsca. Póki jeszcze był czas. Mistrz posłyszał, ostrzegawczą informację ale podobnie jak dzień wcześniej przy napomnieniach Kefy, nie zareagował. Spojrzał na Mirae. Sprawdzał, czy więcej jest w niej szczerości, czy zakłopotania. Wreszcie, lekko przechylił głowę przez prawe ramię. - Dziękuję Suda. Będę o tym pamiętał. – rzekł spokojnie.

Zaskoczony uczeń nie bardzo wiedział, co ma począć. Nie wiedział, czy ma iść, czy ma zostać, czy ma przekonywać, perswadować? Jego rozmyślenia nie na wiele się zdały. Zabrakło czasu na jakąkolwiek inną reakcję. Przez zachodnią bramę wpadli na plac ludzie, przed którymi ostrzegał sługa celnika. Gromada była jak rozjuszony byk, który w rozpędzie wpadł na arenę i zarył przednimi nogami w ziemię, szukając wzrokiem swojej ofiary. Dyszał i sapał żądzą krwi. Po prawej swojej stronie miał uczniów Mistrza, odpoczywających na południowym kruzganku. Na wprost stał Mistrz, Mirae i nieco z tyłu Suda. Pomiędzy nimi, a agresywnym tłumem znajdowała się studnia. „Byk” nie zdążył jeszcze nabrać rozpędu, by staranować Nauczyciela, kiedy ten wyminał studnie i wyszedł mu naprzeciw. Suda ze zdumieniem zauważył, że Nauczyciel trzyma w ręku jego kij. Musiał go zostawić wczoraj, tu przy studni, bo skądże by go wziął?

Ludziom przybyłym na plac przewodził Barisha. Zausznik kapłanów od brudnej roboty. Nikomu za czasów Heroda Antypasa, jego namiestnika Ponopilada, nie było tak wiele wybaczone i zapomniane co jemu. Szara eminencja świątyni ze wzgórze Moria strzegł interesów Lewitów, Ushafearaf, stronnictwa Sadok i wszelkiej maści tych, którzy potrafili dobrze płacić, nie pytając o sposób załatwienia sprawy, a jedynie

o rezultat. Obok Barishy kroczył dumnie osilek zwany Rushar, który predysponował, do tytułu, bezwzględny wykonawcy jego poleceń. Był prawą ręką Barishy. Za nimi podążało kilkunastu mężczyzn. Nie posiadali broni, bowiem jej noszenia zakazywało rzymskie prawo, ale sytuacja była bardzo groźna. Napastnicy byli zdeterminowani i pobudzeni do działania. W dodatku byli w liczebnej przewadze.

Nagle, tuż obok głowy Mistrza przeleciał wyrzucony w powietrze kamień. Rzucił go jeden z przybyłych ludzi stojących za plecami Barishy i Rushara. Kamień zatoczył parabolę i z całym impetem trafił w przedramię Mirae. Na szczęście rzut nie był na tyle precyzyjny, by ją zabić. Kamień nie trafił w głowę. Siła uderzenia była jednak tak duża, że dziewczyna z okrzykiem bólu osunęła się na cokół studni i zaczęła głośno płakać. „To nie po Niego przyszli” – domyślił się zaskoczony Suda – „lecz po nią”. Nie na wiele zmieniało to jednak obraz sytuacji. Wciąż byli zagrożeni. Napastnicy rozglądali się wokół siebie szukając innych kamieni, które można by cisnąć w kierunku Mirae, ale takich wokół nich nie było. Wzrok Rushara pożądliwie zatrzymał się na stercie otoczków przy stopach Joshuy. Ten stał bowiem, dokładnie w miejscu, w którym zostawił je wczoraj Jon. Kefa, Filip i inni uczniowie wstali ze swoich miejsc. Dali znać ludziom kapłanów, że są gotowi do interwencji w obronie swojego Mistrza. Wystarczyłoby tylko jeden krok więcej, a ruszyliby do bójki.

- Nauczycielu – zaczął Barisha, widząc że osiągnięcie zamierzonego celu nie będzie takie proste – kobietę tę pochwycono na rozmowie z duchami. Musimy ją ukamienować.

Na te słowa, Joshua jednak ani drgnął. Nie poruszył się ani jeden mięsień na jego twarzy. Ani razu nie mrugnęła powieka. Mierzył wzrokiem przyszłego wykonawcę wyroku.

- Przyszliśmy wykonać Prawo na czarownicy – powiedział dobitnie Barisha tak, jakby nie był pewien, czy Joshua dobrze usłyszał jego słowa. Banda z tyłu szemrząc, niecierpliwie przebierała nogami. Rozglądała się na boki w poszukiwaniu odpowiedniej wielkości kamieni.

- Przypomnij mi – odezwał się wreszcie Nauczyciel – o jakie Prawo chodzi.

Chciał usłyszeć uzasadnienie, którym się podpiera. Ale tu jak z procy wystrzelił Rushar.

- Księga Kapłanów, rozdział dwudziesty: „A jeżeli mężczyzna albo kobieta będą wywoływać duchy lub wróżyć, to poniosą śmierć. Ukamienują ich, krew ich spadnie na nich”.

Zadowolony z tak szybkiej riposty Rushara, Barisha triumfował. Joshua doskonale wiedział i znał wszystkie zapisy wszystkich ksiąg proroków. Wiedział też, że to pretekst, by zlikwidować niewygodnego świadka, słabości mężczyzn z pokolenia Sadok i Ushafearaf.

- Nie zadrzy ci ręka – Mistrz zrobił umyślną przerwę, obserwując Barishę - kiedy podniesiesz kamień?

- Uczni w piśmie ze wzgórza Moria, uczynili nas narzędziem w tej sprawie – odparł pewny siebie Barisha. Powiedział to tak urzędowo, jakby miał zaraz okazać odpowiedni glejt z najważniejszą pieczęcią.

- A jeśli sami jesteście grzeszni i zasługujecie na śmierć? – Joshua zawiesił głos – To czy to Prawo, będzie dotyczyło również was?

Spojrzeni po sobie zbici z tropu. Pierwszy otrząsnął się Barisha.

- A gdzież to mówi o tym nasz Bóg? – bo nijak nie mógł skojarzyć, by osobiście namaszczeni przez kapłanów, w słusznej sprawie podlegali karze śmierci, bez udowodnienia winy.

- Ja wam to mówię – powiedział Joshua. Podniósł kij i wskazał nim tego, który rzucił kamieniem jako pierwszy i uderzył nim Mirae.

- Uwiodłeś żonę brata swego – rzekł jak sędzia, który ma wszystkie dowody w jednym ręku. Obwiniony już miał iść w zaparte ale Joshua wymienił imię kobiety, wskazał miejsce i czas – według Prawa zasługujesz na śmierć – orzekł.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Wydźwięk jej był podwójnie wymowny. Kobieta była siostrą Barishy. Na domiar złego Barisha sam przyłożył do tego występku rękę, bowiem nie cierpiał swego szwagra. Za to, że wydarł mu część majątku po zmarłym ojcu. Joshua nie czekał na usprawiedliwienia.

– Ty i ty – wskazał następnych, a było to dwóch braci bliźniaków – waszą winą jest morderstwo – tu wymienił znane i głośne imię człowieka zamordowanego w minionym roku. Czyn ten do tej pory przypisywano rzymianom. I w tym przypadku podał miejsce, czas i sposób - według Prawa obaj zasługujecie na śmierć.

– Ty! – kij w jego rękę powędrował w inny koniec grupy – cudzołożyłeś.

I dalej wymieniał wskazując po kolei na stojących zbirów: homoseksualizm, bałwochwalstwo, kazirodztwo

Ludzie Barishy, jeden po drugim, tracili rezon i pewność siebie. Spoglądali spode łba nawzajem, bo znali swoje uczynki. Z których nieraz sami przed sobą się chwalili. Wreszcie zaczęli odchodzić ze spuszczoneymi głowami. Kiedy przysła kolej na

Rushara, ten odwrócił się na pięcie i uciekł. Mistrz na świadectwo prawdzie, uderzył końcem kija w piasek, a na nim wypisana została jego wina. Pozostał tylko Barisha. Uciekł by już dawno, ale wstyd i fałszywie pojmowana duma trzymała go w miejscu. Nie mógł pojąć, skąd ten Galilejczyk zna ich sprawy. Zamknął oczy. Szybko poruszając grdyką, czekał na oskarżenie. Zamiast tego Joshua rzucił kij pod jego nogi, kiedy Barisha otworzył oczy, kij przemienił się w węża. I wtedy Berisha już nie wytrzymał. Tak jak Rushar zaczął uciekać. Zaś łyzy bezsilności, klęski i kompromitacji same cisnęły mu się do oczu. Ledwie jego tunika zniknęła w czeluści zachodniej bramy, do Mistrza przypadli uczniowie.

- Nauczycielu jak to zrobiłeś?! – wołał, podekscytowany Kefa. Nie rozumiał skąd wiedział wczoraj, co stanie się dziś. Inaczej przecież nie nakazałby Jonowi zbierać kamieni. Wszyscy łaknęli szczegółów.

Mistrz uniósł ręce do góry jakby odganiał się przed natrętymi dzieciakami proszącymi o słodycze.

- Przecież powiedziałem wam – rzekł, żeby ich uspokoić – że, cuda są dobre, o ile są potrzebne.

Tu odwrócił się w kierunku Mirae. Ta trzymając rękę na zranionym przedramieniu przestała płakać. Na jej zaskoczony twarzy pojawił się nikły uśmiech wdzięczności.

- Chodźmy – powiedział Mistrz i zrobił krok ku zachodniej bramie – czas przygotować się do kolacji. Ruszyli ławą. Oni, jego uczniowie, szli rozradowani jak drużyna, która wygrała bardzo ważny mecz. Byli dumni ze swego Nauczyciela. Tak dumni, że nikt nawet przez sekundę nie pomyślał o konsekwencjach zwycięstwa.

Suda w milczeniu wyminął Mirae. Jej policzki umazane były od łez. Z jednej strony żałował jej za to co ją spotkało ale z drugiej strony, nie miał zamiaru jej pocieszać. Za studnią, w miejscu niedawnej potyczki, pochylił się i podniósł z ziemi swój kij. Mógłby przysiąc, że jeszcze przed chwilą ten kij pełzał po piasku. Teraz był jednak taki sam jakim go znał wcześniej. Żyłasty, zasuszony i twardy. Dla pewności przeciął nim energicznym ruchem, powietrze z lewa na prawą. Tak jak to się robi mieczem, sprawdzając jego przydatność. To bez wątplenia był zwykły kij. Jego własny. Przyśpieszył kroku, by dogonić grupę. Kiedy byli już na trzeciej albo czwartej ulicy od placu, coś go tknęło. Obejrzał się za siebie.

- Ona idzie za nami – powiedział do Kefy, który razem z nim zamykał pochód.

- Kto? – nie od razu zorientował się Kefa. Szybko jednak rzucił okiem za plecy. Pokręcił głową ze złości. – Na psa urok! – zaklął i splunął na wszelki wypadek trzy razy przez lewe ramię.

Koniec rozdziału pierwszego.